

Łoziński, Bronisław

Sprawa kryminalna Alexandra hr. Fredry o zdradę stanu

Przegląd Historyczny 1/1, 89-106

1905

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

SPRAWA KRYMINALNA ALEXANDRA HR. FREDRY

O ZDRADĘ STANU *).

I.

Burzliwy rok 1848 zastał Alexandra hr. Fredrę u szczytu popularności, na którą złożyły się: piękna przeszłość żołnierska w wielkiej armii napoleońskiej, rozgłośnia, mimo długiej przerwy w twórczości, sława autorska i powszechnie w kraju uznana powaga obywatelska z tytułu publicznych wystąpień w sprawach krajowych. Wystąpieniom takim stosunki konstytucyjne przed rokiem 1848 zakreślały w Galicyi ciasne granice, ale, mimo to, i w takim ścieśnionym zakresie, umiał Fredro rozwinąć wybitną działalność, najpierw jako członek sejmu stanowego i deputat w wydziale stanowym

*) O tym bardzo przykrym w swoim czasie, a dziś ze stanowiska historycznego ciekawym epizodzie z życia Alexandra hr. Fredry, niema żadnej wzmianki w jego opowiadaniu pamiętnikarskiem („Trzy po trzy“). Zygmunt Kaczkowski, którego łączyły ściśle stosunki z domem Fredrów, wspomina o tym epizodzie tyle tylko („Mój pamiętnik,“ str. 63), że po roku 1848 Fredro, chociaż zawsze zaliczał się do konserwatystów, uległ prześladowaniu ze strony rządu austriackiego; że jednak „na to, ażeby się aż wziąć do jego osoby, przecież nie miano odwagi.“ W biografii Fredry, opartej na materiale autentycznym, czerpanym z archiwum familijnego (Stanisława Schnür - Peplowskiego „Z papierów po Fredrze,“ str. 95), znajduje się o tym epizodzie taka tylko krótka wzmianka: „Gorszono się w sferach biurokratycznych pewnem, zbyt krańcowem może, ozwaniem się Fredry na posiedzeniu Rady narodowej w Rudkach. Słówko wzlata ptaszkiem, a powraca wołem, więc też autor nasz mógł dotkliwie odpokutować swe wysoki dobrego humoru.“

W tajem do niedawna, dopiero od roku niespełna dla poszukiwań otwartem, archiwum lwowskiego sądu kryminalnego, sprawa kryminalna Alexandra hr. Fredry stanowi osobny, kilkaset arkuszy obejmujący, fascykuł. (P r z y p i s e k a u t o r a).

a potem jako jeden z tych obywateli, którzy w roku 1846 wręczyli na wezwanie wysłanemu wtedy z Wiednia nadzwyczajnemu i pełnemu swemu Komisarzowi Cesarowskiemu, Rudolfowi hr. Stadionowi memoriały o smutnem położeniu Galicyi i o środkach wydobycia kraju z rozstroju po ówczesnej wielkiej katastrofie. Memoriał Fredry odznaczał się wielką na owe czasy śmiałością w wypowiedzeniu całej prawdy o zgubności dotychczasowego systemu rządowego, mianowicie o zabójczej dla Galicyi działalności biurokracyi, oraz w podniesieniu potrzeby nadania Galicyi w miejsce dotychczasowego, skostniałego ustroju stanowego, takich urządzeń konstytucyjnych, któreby dawały rękojmię normalnego, wszystkie klasy społeczeństwa obejmującego, życia politycznego. Ten memoriał Fredry pozostał tylko materiałem informacyjnym, przez hr. Stadioną z kwaśną miną przyjętym i oczywiście nieuwzględnionym, ale rozpowszechnionym w kraju w licznych odpisach, stanowił w tych smutnych czasach podniecie moralną a poniekąd i otuchę. Dowiedziano się bowiem ztąd, że przynajmniej jeden surowy, a poważny głos prawdy dotarł do sfer, na które tyle odpowiedzialności spadło za ostatnie krwawe wypadki, które też teraz powołane były jeżeli nie do naprawienia złego, które wogóle już naprawić się nie dawało, to przynajmniej do stworzenia warunków lepszej przyszłości.

Kiedy w marcu 1848 r. prąd konstytucyjno-rewolucyjny dotarł z Wiednia do Lwowa z gwałtownością siły żywiołowej, a ówczesny gubernator Galicyi, Franciszek hr. Stadion, pozostawiony co do swojego zachowania się bez instrukcyi z ministerstwa, stał bezradny i bezwładny wobec potęgującego się z każdym dniem, niemal z każdą godziną ruchu politycznego i chwycił się, jak deski ratunku, podjętej przez wiedeńskie stany próby uspokojenia opinii przez rozszerzenie i odmłodzenie skostniałego ustroju stanowego, Fredro powołany został do grona obecnych we Lwowie najwybitniejszych reprezentantów szlachty, które w pałacu gubernatorskim zebrało się na naradę i z namowy gubernatora miało wybrać swoich przedstawicieli do wiedeńskiej Komisji dla projektowanej reformy. Ale myśl ta była już spóźniona nietylko w Wiedniu, lecz i we Lwowie, gdzie zaraz w pierwszym dniu wszczętego ruchu, został ułożony i przez tłumną deputacyę wręczony gubernatorowi adres, domagający się dla Galicyi szeroko zakreślonego ustroju konstytucyjnego. Kiedy więc gubernator, hr. Stadion, przedstawił zgromadzonej w swoim salonie szlachcie projekt wiedeński, Fredro pierwszy wystąpił z oświadczeniem, że szlachta, przystąpiwszy do adresu lwowskiego, nie może już przykładać ręki do wiedeńsko-

stanowego konceptu ¹⁾. To śmiało, a dla późniejszego przebiegu sprawy zasadniczo rozstrzygające wystąpienie Fredry, powitano we Lwowie z wielkim aplauzem, który znalazł serdeczny odgłos także i po za stolicą w najszerzych kołach obywatelstwa.

Wszedłszy raz w tak ścisły kontakt ze zwyciężkim na bruku lwowskim ruchem, Fredro porwany został dalej w tym kierunku do udziału w gwardyi narodowej i w Radzie narodowej, która wtedy odgrywała rolę samorodnej reprezentacji krajowej. Ale śmiałe wystąpienie na zebraniu u gubernatora, hr. Stadionia, było tylko aktem obywatelskiego akcesu do programu konstytucyjnego, nie oznaczało jednak bynajmniej gotowości do łączenia się ze wszystkimi skrajnymi hasłami tej doby, niezgodnymi zresztą z całym charakterem ani ze sposobem myślenia Fredry. To też nie mógł on wytrwać w ścisłej łączności z lwowską Radą narodową, gdy rozwój stosunków coraz widoczniej parł wszystko ku ostremu starciu z rządem. Mimo to nie usunął się demonstracyjnie od całej organizacji ówczesnej, lecz tylko nie dawał się dalej porwać prądowi, a pod jesień opuścił Lwów, aby wytchnąć na wsi, w Bienkowej Wiszni pod Rudkami, które stanowiły niejako stolicę całego kompleksu dóbr Fredrowskich.

Miasteczko Rudki dziś jeszcze po połączeniu kolejowem z odległym o 40 kilometrów Lwowem, po przekształceniu na siedzibę starostwa i innych urzędów, a tem samem po — znacznem stosunkowo zabudowaniu się, uchodzi w świecie urzędniczym, więc w jedynem kole swojej intelligencji, za miejsce wygnania, nawet bliskością stolicy kraju niedostatecznie osłodzonego. W r. 1848 Rudki wsiemna czy trzema murowanymi domami, wśród chałup wiesi przypominających, ze słynnym z błota rynkiem, w pośrodku którego stał drewniany dom gościnny z pompatyczną nazwą ratusza, tak niezawodnie wyglądały, że tylko ślepa wiara w trafność urzędowej nomenklatury, mogła im zjednać nazwę miasta. Dopiero Fredro wstawił Rudki, oczywiście w hómorystycznym tego słowa znaczeniu, wierszem, w którym żartobliwie opisuje swój wyjazd z Paryża w r. 1813 po pogromie wielkiej armii napoleońskiej:

Wyjechaliśmy razem z odmiennych pobudek,
Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.

Ale nadzwyczajny pod każdym względem r. 1848 wywołał także i w Rudkach ruch, jakiego tam przedtem nigdy nie było.

¹⁾ Bliższe szczegóły o tem wystąpieniu Fredry podałem w szkicu „Epilog Stanów galicyjskich“ (zeszyt wrześniowy „Biblioteki Warszawskiej“ z r. 1901).

Poszły bowiem Rudki za przykładem Lwowa i utworzyły własną Radę narodową, do czego inicjatywa wyszła z pobliskich Hoszan od znanego w historii Galicyi z tej doby obywatela, Henryka Janki i miejscowego parocha gr. kat. ks. Jana Hryniewieckiego. Początkowo nazwano stowarzyszenie czytelnią i rzeczywiście tak je urządzono, ale później zachciało się uczestnikom uroczyście nazwy Rady narodowej, do czego parła tak ważna w małym miasteczku figura, jak mandataryusz miejscowy Kajetan Krokoszyński. Skoro zaś raz powstała Rada narodowa, to niepodobna było dłużej zwlekać z uformowaniem własnej gwardyi narodowej, którą zaraz w pierwszej chwili ruchu rewolucyjno-konstytucyjnego patent cesarski usankcyonował dla miejscowości z ludnością powyżej 1000. Wobec tego zlegalizowania gwardyi narodowej mandataryusz Krokoszyński jawnie i w całej pełni swojego charakteru urzędowego mógł przystąpić do czynności organizacyjnych. To też odniósł się w tej sprawie do urzędu cyrkularnego w Samborze i sprowadził ztamtąd komisarza Bartmańskiego dla tej sprawy.

Ale z gwardyą narodową rzecz nie poszła tak gładko, jak z utworzeniem czytelni i z jej przekształceniem na radę narodową. Chociaż komisarz cyrkularny obwieścił legalność instytucyi, wzywał do wstępowania w jej szeregi, chociaż syn Fredry (Jan Aleksander), wówczas młodzieniec gorąco kąpany, a w kilka miesięcy później ochotnik rewolucyjnej armii węgierskiej w otwartej wojnie z armią austryacką, obchodził domy mieszczan rudeckich i zachęcał do zaciągania się w szeregi gwardyi narodowej, mimo to wszystko, rzecz postępowała oporem. Mieszczanie, chłopci i żydzi słuchali namowy, namyślali się i naradzali pokątnie, ale czy niedowierzali legalności instytucyi, czy lękali się jej podobieństwa do wojska, w którym służba uchodziła za nieszczęście, dość, że zgłoszeń nie było. Mandataryusz Krokoszyński, nie dając za wygraną, dla wywarcia nacisku na trwożliwych obywateli rudeckich, pierwszy sprawił sobie efektowny uniform gwardyjski i ostentacyjnie wyjeżdżał w nim do sąsiedniego Komarna, gdzie gwardya już się uformowała i odbywała musztrę pod fachowym instruktorem. Sprawilo to sensację, tem więcej, że wkrótce potem z dziedzica budynku „dominikalnego“ słyszano marszowy odgłos bębna, a wtajemniczeni głosili, że pan mandataryusz kazał policyantom zużyty i podarty cokolwiek bęben, używany dotąd tylko do obwieszczeń dominikalnych, połatać i na świeżo pomalować, a nadto wyćwiczyć się w wybijaniu marsza żołniersko-gwardyjskiego. Gdy to wszystko nie wystarczyło jeszcze do należytego podniesienia animuszu w mieszkańcach Rudek, wpadł raz do miasteczka na pięknym ka-

rym koniu dzierżawca jednej z wsi sąsiednich w okazałym uniformie konnego gwardzisty i rozpoczął energiczną propagandę wobec gapiących się dokoła niego mieszkańców. Zaczął swoją przemowę w tonie energicznym, żołnierskim, ale z miejsca tak wysoko wziętym co do nieparlamentarnych epitetów, że słuchacze uczuli się na honorze dotknięci. Już się zabierano do pochwylenia zbyt przedkiego w słowach gwardzisty w swoje ręce i byłoby się niezawodnie skończyło na wielkim dlań despekcie, gdyby, na szczęście, jego dzielny kary koń nie był ocalał sytuacji jednym śmiałym a i zręcznie ku rogatce skierowanym, susem!

Pomysłowy mandataryusz Krokoszyński postanowił tedy dobyć ostatniego atuta. Nie wychylając się z rezerwy, jakiej jego urzędowe stanowisko wymagało, umiał zręcznie poddać i wykonać projekt, który od razu mógł podnieść wysoko w opinii rudeckiej Radę narodową, a przez to rokował także i formacji gwardyi narodowej lepszą przyszłość. Idąc za inspiracją pana mandataryusza, Rada narodowa wybrała bawiącego w Bienkowej Wiszni Aleksandra Fredrę swoim prezesem i przez osobną deputacyę zaprosiła go do objęcia tej najwyższej w Rudkach godności obywatelskiej. Fredro, chyba dla przerwania nudów wiejskich, na które w danej chwili nie było lepszego antidotum, jak taka blizka obserwacya małomiasteczkowych figur w lansadach wielkiej polityki, przyjął ofiarowaną sobie godność, zjechał do Rudek i wygłosił w Radzie narodowej mowę. Podziękował w niej za okazane sobie zaufanie, a nadto dorzucił uwagi nietylko o legalności i pożyteczności gwardyi narodowej, lecz także o korzyściach, jakich po gotującej się zmianie systemu rządowego oczekiwać było można. Ze względu na audytoryum, nie ukwalifikowane do zrozumienia korzyści politycznych, a natomiast bardzo łakome ulg materyalnych, napomknął Fredro o znizeniu cen soli i tytoniu. Dostało się w tej mowie osobliwie znieawidzonej biurokracyi, z którą Fredro niedawno w memoryale dla Rudolfa hr. Stadiona ostro się rozprawił.

Szczęśliwie dla reżyserów Rady narodowej, ale nie najlepiej dla Fredry, zdarzyło się, że w tym czasie właśnie przyjechał do rodziców, koło Rudek mieszkających, na wakacje akademik i gwardzista wiedeński Maciułski, na którego inteligencya spoglądała, jak na wyższą istotę. Maciułski wszedł także do rudeckiej Rady narodowej i wygłosił w niej obok Fredry taką płomienną mowę, jakiej w Rudkach nigdy nie słyszano. Mówca zapomniał, że nie stoi na gorącym bruku wiedeńskim, lecz na błocie rudeckim. Na szczęście użył frazesów tak górnolotnych, że, zamiast rozpalić głowy rudeckich polityków żarem rewolucyjnym, zabił w nie klina tak,

że wszyscy słuchacze po swojemu te frazesy komentowali, a nikt ich dobrze nie zrozumiał.

Po tem wszystkim, oczywiście, musiało się podnieść znaczenie rudeckiej Rady narodowej. Zaczęli się do niej garnąć nietylko mieszcianie rudeccy, lecz także ludzie z okolicy, nie wyłączając nawet przybywających do miasta chłopów z okolicy, dla których większą od politycznej była propinacyjna siła atrakcyjna. Ulokowała się bowiem ta rada w kamienicy propinacyjnej na pierwszym piętrze, gdzie była największa sala rudecka. Ludzie ze skrupułami mogli tedy częściej zaglądać do szynku na dole pod pretekstem, że leży po drodze do miejsca, na którem dopełnić pragną powinności obywatelskiej. Zaczęli ludzie garnąć się do Rady narodowej nietylko dla czytania dzienników i słuchania rozmów politycznych, lecz także po radę w różnych dolegliwościach—a nawet—jakby do jakiego wyższego trybunału po rozsądzenie spraw, w zwykłej instancji albo niepomyślnie załatwionych, albo zbyt długo przewlekanych. Przykład zachęcający dał najpierw jeden z przedmieszczan rudeckich, który, mając do miejscowego proboszcza bardzo wątpliwą pretensję o grunt, wniósł piśmienną skargę do Rady narodowej. Sekretarz wypisał na niej natychmiast według wszelkiej formy urzędowej dekretację do rozprawy z sakramentalnym inicjałem: „wolność, równość i braterstwo“ oraz z wezwaniem „obywatela“ proboszcza do przedstawienia tytułów i dokumentów. „Obywatel“ proboszcz, widocznie zastraszony kategorycznym tonem wezwania, natychmiast piśmiennie sumitował się przed „prześwietną“ Radą narodową z powtórzeniem powyższego inicjału, a sekretarz na tej obronie zadekretował dalszą akcyę. Że postępowanie to stanowi kolizyę z prawem, za którą może komu kiedyś odpowiadać wypadnie, o tem wtedy nikt nie myślał, a biegły w prawie pan mandataryusz może nieraz i pomyślał, ale się z tem nie ozwał, aby nie tamować wszczętego ruchu.

Także i formacya gwardyi narodowej była teraz bliższa pomyslnego załatwienia, bo niektórzy w letnim ubraniu Fredry, podczas jego zachęcającej mowy w Radzie narodowej, chcieli koniecznie dopatrzeć się kroju uniformu z oznaką rangi kapitana na ramionach. A przecież Fredro był kapitanem napoleońskiej daty, więc opowiadania takie trafiały do przekonania nawet żydom rudeckim, którzy i ten szczegół tak samo, jak gwardyjski uniform pana mandataryusza, łączyli z ćwiczeniem się policyantów w wybijaniu marsza na bębnie dominikalnym i zaczęli przemyślać nad tem, czy zapisaniem się do gwardyi narodowej nie mogliby się młodzieńcy w wieku popisowym wykręcić od zawsze strasznej dla

nich, a w tych czasach istotnie bardzo ciężkiej i długiej służby wojskowej.

Ale wszystkim tym planom gorących żywiołów, wątpliwościom ociążałych w myśleniu mieszczan i kombinacyom trwożliwych żydów rudeckich, nagle kres położył dochodzący od Lwowa huk salw działowych, któremi komenderujący generał br. Hammerstein odpowiedział lwowskiej radzie i gwardyi narodowej na jej śmiałe wystąpienia i zbombardował stolicę kraju do kompanii z księciem Windischgrätzem, bombardującym równocześnie zrewoltowaną stolicę państwa. Od razu zmieniła się sytuacja w rozbudzonych do życia politycznego Rudkach. *Nec locus ubi*—Rada narodowa! Mieszczanie i przedmieszczanie wrócili do zaniedbanych zajęć gospodarczych i warsztatowych, żydzi ochłonęli z wszelkiego strachu, nie słysząc już więcej złowrogiego odgłosu bębna dominikałnego, a pan mandataryusz Kajetan Krokoszyński zawiesił nowy uniform gwardyjski na kołku.

Po hucznym karnawale politycznym, cisza cmentarna zapanała we Lwowie, a sroga reakcyja szykować się zaczęła do swojej mściwej, terrorystycznej działalności w całej Austryi, szczególnie w Wiedniu, we Lwowie, wogóle w Galicyi, jako w głównych ogniskach ruchu rewolucyjnego. Rozpoczęły się pod stanem obłężenia wojskowo-sądowe rozprawy, którym organy policyjne dostarczały ciągle świeżego materiału, wygrzebując z aktów i pamięci wszystkie, do niedawna z wymuszoną cierpliwością i potulnością znoszone wybryki, a organom tym w całym państwie przychodziła w pomoc rozbudzona i zachęcona z góry ochotnicza służba policyjna,—cały rój denuncyantów. Reakcyja ówczesna postanowiła nie tylko w odstraszący sposób ukarać rzeczywistych winowajców — przestępców politycznych, i na nich mściwie powetować niedawne upokorzenia rządu, lecz nadto — usunąć jaknajdalej od życia publicznego, więc zizolować pod dozorem policyjnym wszystkie gorętsze żywioły inteligencyi, do których nie dała się zastosować kodeksowa kwalifikacyja kryminalna, a które w niedawnym oszołomieniu politycznem okazały się niebezpieczne, lub chociażby tylko niewygodne dla rządu.

W Rudkach nie było na razie takiego ochotnika policyjnego, jakkolwiek nie byłoby brakło dlań materiału w wersjach, krążących o mowie Fredry w Radzie narodowej i w notorycznych faktach jej nielegalnej judykatury, zwłaszcza od chwili, gdy w całej okolicy głośnem już było, że młody Fredro (Jan Alexander) przemknął się do Węgier, do armii rewolucyjnej, a razem z nim, czy obok niego, w każdym zaś razie równocześnie, podążyli tą samą

drogą dwaj inni młodzi ludzie z Rudek, z których jeden był pisarzem „dominikalnym“, a zatem podwładnym funkcjonariuszem mandataryusza Krokoszyńskiego. Wrazie denuncyacji, fakta powyższe byłyby dały powód co najmniej do dokuczliwego śledztwa i połączonego z niem nagabywania — nawet ludzi bezpośrednio w to niewplątanych. Wszystko byłoby może poszło w zupełne zapomnienie, gdyby nie postępowanie mandataryusza Krokoszyńskiego, który w wygórowanym poczuciu swej godności i władzy mandataryackiej, najwyższej albo raczej jedynej w skromnych Rudkach, zachowywać się zaczął, jak mały satrapa. Władza mandataryacka, cokolwiek zaćmiona przez niedawne zniesienie pańszczyzny, urosła znacznie w pierwszym okresie reakcji dlatego, że rząd pilnie potrzebował wojska i pieniędzy na toczącą się już we Włoszech i rozpoczętą w Węgrzech kampanię, a rekrutacja, kwaterunek i pobór podatków, wchodziły właśnie w zakres funkcji mandataryackich. Nadto rygor dozoru policyjnego nad ludnością miejscową i nad przejezdnymi został w tym czasie bardzo zaostrzony, a mandataryusz, jako organ policyjny, trzymał w swoim ręku klucze od areztu „dominikalnego“, do którego, wobec podniesionej na poziom systemu dowolności, wtrącać mógł bez kontroli i bez regresu nawet za błahym pozorem. Dwa lata takich rządów wzbudziły w ludności, szczególnie żydowskiej, gorycz, którą z obawy przed mściwością Krokoszyńskiego, bardzo dobrze u swej przełożonej władzy cyrkularnej w Samborze zapisanego, tłumiono w milczącej rezygnacji, czekając na jakieś wyniesienie w godności, a tem samem i przeniesienie małego satrapy.

Ale wreszcie kosa trafiła na kamień. Krokoszyński w swej dokuczliwości nie poprzestał na chłopach i żydach, lecz dopieknął do żywego także kilku księżom, z których jeden, ruski paroch w najbliższej wsi, ks. Narcyz Rewakowicz, osobiście znękanym i do tego dotkniętym w uczuciach ojcowskich przez surowe postępowanie ze swoimi synami za jakieś kolizye ich z prawem karnem, rzucał rękawicę nieznośnemu mandataryuszowi i zaczął się zbroić do rozpaczliwej walki. W tym celu długo zbierał i wreszcie zebrał cały rejestr faktów, wersyi i plotek, z których miało wypływać, że Krokoszyński jest nie tylko niegodziwcem, lecz i skończonym zbrodniarzem. W skardze swojej ks. Rewakowicz tak ułożył ów rejestr poszczególnych grawaminów, żeby widocznem było, że między surową aplikacją przepisów rekrutacyjnych, podatkowych i policyjnych przez Krokoszyńskiego, a jego kieszenia, spiżarnią i wszystkimi ubikacyami gospodarczemi, zawsze zachodził związek jak najściślejszy, że mianowicie — kieszeń pana mandataryusza, jego spi-

żarnia i stodoła wypełniają się w miarę zbliżania się rekrutacyi i wzrostu frekwencyi w aresztach „dominikalnych“. W żydach, swoim losem najlepiej ilustrujących samowolę mandataryusza, potrafił ks. Rewakowicz wzbudzić taką otuchę i odwagę, że zarząd gminy wyznaniowej otwarcie przyłączył się do przygotowanej skargi, wymieniając świadków na zarzuty przedajności, nadużycie władzy i t. p. Wiedząc jednak, że Krokoszyński bardzo dobrze jest zapisany w cyrkułe Samborskim, ks. Rewakowicz tak sformułował swoje oskarżenie, żeby nie sama tylko władza cywilna o niem rozstrzygała, lecz, żeby ono zająć mogło także i wszechwładne w tych czasach, a surowe sfery wojskowe. W tym celu na pierwszy plan wysunął zarzut, że Krokoszyński w r. 1849 działał w duchu rewolucyjnym, namawiając gminy do odmawiania rekruta i nakłaniając dwóch młodych ludzi do zaciągnięcia się w szeregi rewolucyjnej armii węgierskiej, co, według proklamacyi stanu obłączenia z 10-go stycznia 1849, podpadało pod jurysdykcję sądów wojennych.

Nie jednego Krokoszyńskiego, lecz cały legion mandataryuszów można było sprzątnąć taką litanią zarzutów. A do tego jeszcze szczęście zdawało się sprzyjać ks. Rewakowiczowi. Właśnie bowiem wtedy, gdy miał już skargę swoją przygotowaną, butny adwersarz jego popadł w kolizyę z komendantem posterunku żandarmeryi, który, dbały o swoją powagę i nie czując wyższości mandataryackiego dostojęństwa w Rudkach, wniósł na Krokoszyńskiego skargę do swojej przełożonej komendy. Nad głową Krokoszyńskiego zawisły tedy takie gęste chmury, że zdawało się, iż nie jeden grom, lecz cała salwa gromów spadnie nań w jednej chwili z cyrkułu i komendy wojskowej. I rzeczywiście centralna komenda stanu wyjątkowego wzięła się do sprawy na seryo. Zesłała bowiem do Rudek osobną komisję śledczą, złożoną z audytora wojskowego i z dwóch wojskowych assesorów. Ze względu na to, że po osądzeniu zarzutów, jurysdykcyi wojskowej podlegających, sprawa cała oprze się potem o cywilny sąd kryminalny, dodano komisyi radcę kryminalnego ze Lwowa, Filousa, jako asystenta i ewentualnego kontynuatora dochodzeń.

Zjechała ta groźna komisja śledcza do Rudek w jesieni 1852 i przesłuchiwała najpierw kilkadziesiąt świadków wypadków z r. 1848, oraz pokrzywdzonych przez Krokoszyńskiego w latach następnych, spisując z nimi stopy protokołów. Potem badano Krokoszyńskiego, z którego spisano protokół takich rozmiarów, że w druku powstałoby z tego tom spory. Jestto bardzo ciekawa, a przytem i zabawna lektura, ale wszystko zbyć tutaj musimy krótką wzmianką. Przesłuchani, ks. Rewakowicz i połączeni z nim przeciw Krokoszyńskiemu

żydzi, nie tylko powtórzyli ustnie to wszystko, czego pisarze nie wnieśli, lecz nadto uzupełnili skargę nowymi szczegółami. Nie spisałyby nikt wszystkich zarzutów, na prawdę, na wołowej skórze, gdyż papier, zapisany przez komisję, większą zajmuje przestrzeń, aniżeli kilka skór wołowych, chociaż w czytaniu odnosi się wrażenie, że protokolańt ile możliwości streszczał gadanię. We wszystkich tych zeznaniach figuruje Krokoszyński, jako formalny potwór z piekła rodem. Żydzi nazwali go już nie wrogiem samego plemienia izraelskiego, lecz literalnie „wrogiem ludzkości“, który uczuwa demoniczną pasję w pastwieniu się nad swemi ofiarami i w dokuczaniu ludziom. Wymieniano nawet ofiary tej zabójczej passyi, między niemi proboszcza rudeckiego, zmarłego rzekomo wskutek udręczenia niesłychanym ciężarem kwaterunkowym.

Przy czytaniu tych wszystkich protokółów czeka się tylko, kiedy komisya każe nałożyć kajdany na Krokoszyńskiego. Tymczasem, następują jego odpowiedzi na każdy zarzut tak zręcznie sformułowane, że zarzucone mu okropne zbrodnie błędną coraz więcej, a w końcu albo całkowicie znikają, albo co najwięcej pozostawiają po sobie ślady zwyczajnych dowolności mandataryackich, podlegających nie sankcyi kryminalnej, lecz dyscyplinarnej wobec przełożonej władzy cyrkularnej. Widocznie oskarżyciele przesadzili bardzo i tą przesadą ułatwili znakomicie obronę sprytnemu przeciwnikowi. Cóż bowiem znaczyły wszystkie skargi na sekatury i nadużycia przy poborze rekruta i podatków, przy kwaterunku i wykonywaniu kontroli policyjnej, skoro Krokoszyński ku wielkiemu zdumieniu komisyi śledczej złożył na jej stole cały szereg dekretów pochwalnych z Samborskiego urzędu cyrkularnego, w których ten rzekomy zbrodniarz przedstawiony jest, jako bardzo energiczny i sumienny przytem wykonawca otrzymanych wyższych poleceń, a nawet, jako wzorowy i zasłużony funkcyjaryusz państwa, który w chwili krytycznej, wśród kampanii węgierskiej, przysporzył w rekrutach i podatkach najpotrzebniejszych środków zwycięstwa. Rzekome odmawianie rekrutów, zachęcanie do udziału w rewolucyjnej armii węgierskiej i wywołanie dwóch młodzieńców do tej armii okazało się oczywiście bajką.

Jednakże, w toku tego wojskowo-sądowego śledztwa, audytor pytaniami swemi wywołał także omówienia działalności Krokoszyńskiego przy zawiązaniu Rady narodowej w Rudkach. Niektórzy świadkowie, pociągnięci przez audytora za język, mówili o wszystkim, więc także o wystąpieniu Fredry, w którego mowie miały się znajdować słowa o potrzebie wypędzenia „dyabła w stosowanym kapeluszu“, (przez co niektórzy rozumieli samego cesarza), o zmia-

nie rządu i t. p. Wojskowa komisya śledcza zamknęła tedy swój protokół i przesłała go komendzie stanu wojskowego z oznajmieniem, że wprawdzie nie odnaleziono śladów zbrodni, według manifestu o stanie oblężenia wojskowej judykaturze podlegających, że jednak niektóre zarzuty ks. Rewakowicza i żydów rudeckich wymagają dalszego rozpatrzenia przez sąd karny i urząd cyrkularny w Samborze, a nadto zeznania niektórych świadków zawierają przeciw Fredrze znamiona zbrodni zdrady stanu, podlegającej kompetencji lwowskiego sądu kryminalnego.

W październiku 1852 władze wojskowe wysłały wszystkie akta do lwowskiego sądu kryminalnego, gdzie je oddano do referatu radcy Filousowi, temu samemu, który asystował wojskowej komisji śledczej w Rudkach. Byłto sędzia biurokratycznego pokroju, który praktykę sądową rozpoczął w smutnej epoce spiskowej przed r. 1846, kiedy to lwowski sąd kryminalny z osławionym Prëssenem, jako prezydentem, a jeszcze więcej z osławionym radcą Maurycym Nittmannem, jako głównym filarem w procesach politycznych, był powolnem narzędziem panującego systemu rządowego, ulegał wskazówkom dyrektora policyi, Sacher-Masocha, w toku śledztwa, oglądał się zawsze w wyrokach swoich na głównego reżysera tego systemu, prezydenta gubernialnego, br. Kriega i nawet sprawy studenckie, jak np. w procesie Karola Szajnochy, naciągał do najsurowszej kwalifikacyi kryminalnej.

W chwili, gdy sprawa Fredry weszła po raz pierwszy na sesyę (9 listopada 1852), sytuacja w lwowskim sądzie kryminalnym zmieniła się pod niejednym względem. Wszedł w życie nowy kodeks karny, na którym, w porównaniu z jego poprzednikiem, znać już było wpływ przełomowy r. 1848, nie dający się zupełnie powstrzymać srogą reakcją polityczną. Procedura karna, oparta na trącającej średniowiecznemi pojęciami prawnemi, zasadzie inkwizycyjnej, przestała już obowiązywać w innych prowincjach państwa, ustępując miejsca nowożytnemu, na zasadzie oskarżenia opartemu postępowaniu, a Galicya uczuła tę zmianę bodaj pośrednio, z tego powodu, że już w rok później także dostąpić musiała tego dobrodziejstwa prawnego, z czem sądy w postępowaniu swoim poniekąd naprzód liczyć się musiały. Co najważniejsza jednak, to fakt, że chociaż w danym ustroju państwowym sądownictwo pozostało zawsze jeszcze w dawnej zależności od administracyi, więc od prądów panujących w praktyce, nie wynikały już ztąd, zwłaszcza w Galicyi, takie dotkliwe następstwa dla przestępców politycznych, jak dawniej. Z tego miejsca bowiem, z którego dawniej w sprawach polityczno-kryminalnych wychodziła systematyczna surowa intryga,

oddziaływała teraz na sprawy tej kategorii równie systematyczna mitygacya. Nie było już bowiem w prezydyum gubernialnym br. Kriega, a na czele rządów krajowych stał Agenor hr. Gołuchowski.

Radca Filous, chociaż wyszedł z bardzo złej szkoły sędziowskiej, posiadał, jak widać, zmysł polityczny, bo zorientował się w sytuacji i poznał doniosłość ewentualnej kondemnaty kryminalnej, lub chociażby znękanie takiej znakomitości, jaką był wtedy Fredro. To też na sessyi przedstawił jego sprawę w sposób wcale liberalny, uznając opowiadanie świadków wobec wojskowej komisji śledczej jako bałamutne, a wyrażenie przez Fredrę użyte, biorąc nawet takie same zeznania w rachubę, za niedostateczne do wysuwania ztąd wniosku, że Fredro zamierzył obrazić panującego monarchę austriackiego, lub pobudzić słuchaczy swoich do buntu przeciw rządowi. Tem mniej można Fredrze takie zamiary podsuwać, ile że w tych zawichrzonych czasach (1848) ludzie najtrzeźwiejsi wychodzili z równowagi i w wystąpieniach publicznych po prostu nie zdawali sobie sprawy ze znaczenia słów wypowiedzianych. Wywód swój w tym duchu, szczegółowo rozwinięty, zamknął radca Filous wnioskiem zaniechania wszelkich dalszych dochodzeń przeciw Fredrze. Za wnioskiem tym oświadczyła się większość wotantów, mniejszość zaś, a na jej czele znany z dawniejszych procesów polityczno-kryminalnych Sellycy, przemawiała za wytoczeniem procesu — co najmniej o zbrodnię zakłócenia wewnętrznego spokoju państwa. Ta mniejszość stanowiła starą gwardyę kryminalno-sądową, która tak samo, jak stara gwardya napoleońska pod Waterloo, powiedziała o sobie, że zginie, a nie podda się nowym prądom i pojęciom prawnym w sprawach polityczno-kryminalnych.

Zdawało się, że na tem skończy się cała sprawa, że będzie ona, według terminu biurokratycznego, ubita. I byłoby się tak istotnie stało, gdyby nie ta fatalna dla Fredry okoliczność, że główna w tych czasach kuźnia repressyjnych zarządzeń w Wiedniu, najwyższa władza policyjna, w danej chwili właśnie na Galicyę zwracała uwagę swoją. W początku r. 1852 bowiem stracono w Wiedniu znanego w historyi spiskowców galicyjskich spiskowca-fanatyka, Juliana Goslara, który po dwukrotnem skazaniu go na karę śmierci i dwukrotnem ułaskawieniu, za trzecim wreszcie razem poszedł na rusztowanie. W wiedeńskim procesie Goslara zebrano wszystkie ślady jego ostatnich koneksyi w Galicyi i szukano wątku do nowych procesów. Wtedy to ślad przygodnej tylko znajomości Goslara z Wincentym Polem, znajomości, w której najwięcej wspólne aspiracje poetyckie w grę wchodziły, wywołał, w połączeniu z dalszą denuncyacyą, na rzekomo nielojalne za-

chowanie się Pola i innych profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego wobec młodzieży, dochodzenia policyjne w Krakowie, z których, w braku substratu dla procesu kryminalnego, szef najwyższej władzy policyjnej, generał br. Kempen, potrafił drogą dowolności administracyjnej wysnuć takie konsekwencje, że dziś zakrawałoby to na bajkę, gdyby nie dało się stwierdzić z autentycznych źródeł archiwalnych. Nie oglądając się wcale na ministra oświaty, któremu dyscyplinarnie podlegają profesorowie uniwersytetu, br. Kempen wyjednał u cesarza zatwierdzenie wniosku, według którego usunięci zostali z katedr swoich, bez formalnego pociągania do odpowiedzialności, bez przesłuchania i bez wskazania motywów, profesorowie Antoni Małeki, Wincenty Pol, Zygmunt Antoni Helcel i Józef Zielonacki. Ministrowi oświaty zakomunikował br. Kempen dopiero *fait accompli*, aby sobie innych profesorów poszukał.

Uchwała lwowskiego sądu kryminalnego w sprawie Fredry rychło doszła do wiadomości tej wszechpotężnej w państwie, najwyższej władzy policyjnej z tego powodu, że z aktami owego śledztwa rudeckiego w jedną całość połączone były akta za targu Krokoszyńskiego z żandarmeryą, której komenda krajowa ze wszystkiego opowiadała się przed swoim zwierzchnikiem wiedeńskim. Br. Kempen ściśle przejrzał akta całej sprawy i zaalarmował ministerstwo sprawiedliwości doniesieniem, że we Lwowie ubito sprawę Fredry, mimo widocznych poszlak zbrodni zdrady stanu. Przejrzano wszystkie akta także i w ministerstwie sprawiedliwości, uznano tam oczywiście remonstracje najwyższej władzy policyjnej za uzasadnione i wysłano całą rzecz do lwowskiego sądu apelacyjnego z przykrem wytknieniem tak pobłażliwego traktowania sprawy. Ministerstwo sprawiedliwości kategorycznie poleciło, aby sąd kryminalny przeprowadził dalsze, uzupełniające dochodzenie szczegółów co do mowy Fredry w rudeckiej radzie narodowej i zaczął śledztwo od natychmiastowego, sumarycznego przesłuchania Fredry.

Sprawa Fredry wróciła oczywiście do dotychczasowego jej referenta, radcy Filousa, który spełnił polecenie ministerstwa, wzywając obwinionego do protokularnego przesłuchania. Odbyło się ono d. 26 czerwca 1853. Dla dokładnego poznania sprawy przytoczamy protokół spisany z Fredrą, oczywiście z ograniczeniem się do głównych pytań i odpowiedzi.

Radca Filous: Z śledztwa pokazało się, że przybywszy do Rady narodowej i przemawiając do zgromadzonych włościan rudeckich, oraz mieszkańców taniejszej okolicy, przedstawił im pan hrabia, iż „przyszły dla nich pomyślne czasy, aby się od jarzma

uwolnili i cesarza w jego stosowanym kapeluszu ztąd wykorzenili i do dyabła napędzili.“ Do tych słów pan hrabia musiał jakiś cel przywiązywać. Proszę się więc wytłumaczyć?

Zaraz obok tego pytania protokół zaznacza w formie spostrzeżenia samego sędziego śledczego, że Fredro „wpadł w niekłamane oburzenie i odpowiadał w uniesieniu.“

Fredro: „Że podczas mojej bytności w Radzie narodowej w Rudkach mogła być mowa o uformowaniu gwardyi narodowej, tego ani pamiętam, ani zaprzeczać nie chcę. Że jednak przeciw mnie takie oskarżenie wniesiono, jak się teraz dowiaduję, to mię oburzać musi. Nietylko bowiem nic podobnego w Rudkach nie powiedziałem, co zapewniam i nawet zaprzysiędz gotów jestem, lecz nic podobnego w całym życiu mojem z ust moich nie wyszło. Nazwałby mię musiano głupcem, gdybym w Rudkach, w obecności takich ludzi, jacy się tam wtedy znajdowali, coś podobnego powiedział. Powołuję się na świadectwo tutejszych mieszczan i urzędników, którzy mnie nawet osobiście nie znają, czyli mój sposób myślenia jest taki, żebym coś podobnego mógł powiedzieć. Dlatego najsolennie oświadczam, że oskarżenie przeciw mnie wniesione jest z największą głupotą, bezczelnością i potwarzą.“

Radca Filous: „Przedstawienie panu hrabiemu uczynione, nie opiera się na luźnem doniesieniu, lecz na zeznaniach wielu, pod przysięgą słuchanych świadków, a zatem samo zaprzeczenie wystarczyć nie może. Zechce zatem pan hrabia powiedzieć, czy i jakim sposobem może udowodnić, że podobnej mowy nie wygłosił?“

Fredro: „Nie wiem, jakim sposobem byłbym w stanie wykazać nieprawdziwość wniesionego przeciw mnie oskarżenia. Powołuję się zatem na powszechnie znany mój sposób myślenia i moje postępowanie we Lwowie w r. 1848, czy kiedy i kogo przed kim podburzałem, czy wszędzie nie dążyłem do tego, aby był spokój i porządek. Proszę zasięgnąć o mnie zdania policyi i wszystkich wyższych urzędników, czyli w r. 1848 wszędzie nie byłem tego zdania, aby był spokój. O ile pamiętam, nikomu nigdy żadnej krzywdy nie uczyniłem i dlatego nawet przypuścić nie mogę, iżby kto ze złości i nienawiści o coś podobnego mię oskarżył. Sądzę owszem, iż nie zrozumiawszy moich słów, ludzie w rozmowach pomiędzy sobą i z opowiadań o tem zdarzeniu, coś sobie uroili, a przesłuchiwani—z bojaźni, żeby ich o co do odpowiedzialności nie pociągnięto, przeciw mnie zeznali to, co się nigdy nie stało.“

Nazajutrz Fredro stanął znowu do protokołu przed radcą Fipousem i, nie czekając na dalsze pytanie, prosił o zapisanie następującego oświadczenia: „Wczoraj byłem tak oburzony oskarżeniem,

że uszło mi z pamięci kilka uwag, które tutaj dzisiaj przedstawiam. Od czasu zdarzenia, o które zostałem oskarżony, minęło lat cztery, a zatem więcej czasu, aniżeli potrzeba, iżby plotka, po karczmach powtarzana, urosła i skrzywiła się. Słuchając oskarżenia, co się tyczy wyrazów przeciw cesarzowi, byłem tak oburzony, że tylko na treść zwróciłem całą uwagę; teraz zaś muszę rozebrać i słowa tego oskarżenia. Nie mogłem powiedzieć włościanom, że przyszedł czas, aby się z pod jarzma nad sobą uwolnić, bo właśnie odebrali największe dobrodziejstwo, t. j. uwolnienie od pańszczyzny i niczego więcej żądać nie mogli. Wyraz, „aby cesarza w stosownym kapeluszu ztąd wykorzenić,” jest ledwie nie bez sensu, bo słowo „wykorzenić” nie da się zaaplikować w tym sensie, t. j. mówiąc o jednym człowieku. Co do stosowanego kapelusza, to nawet portretów cesarza w takim kapeluszu nie widać. Nareszcie wyrażenie „do dyabła wypędzić” jest nadto grubiańskie i karczemne, aby w jakimkolwiek zgromadzeniu mogło być użyte. Zastanowiwszy się nad tem, każdy przyzna, że mowa, o którą jestem oskarżony, nie mogła wyjść z ust człowieka, który trochę tylko dobrego wychowania otrzymał.

Powiedziałem wczoraj, że nikomu nigdy krzywdy nie zrobiłem i dlatego przypuścić nie mogę, aby ktoś był moim nieprzyjacielem. I teraz to powtarzam, ale przypomniałem sobie, jacy to ludzie mogą mię oskarżać. Na wsi dość odmówić drzewa, pastwiska, lub zagrabić za jaką szkodę, żeby mieć nieprzyjaciela. Np. w owym czasie jeden włościanin rudecki, Michał Chymiak Mikołków (którego zeznanie zaprzysiężone głównie ściągnęło na Fredrę obecne śledztwo kryminalne—*przyj. aut.*) pogorzał i żądał odemnie drzewa bezpłatnie, na co mu odpowiedziałem, że każę mu tanio sprzedać, ale darmo nie dam, gdyż dawne stosunki poddańcze zmieniły się. Najwięcej dlatego odmówiłem, że jestto włościanin majątny. Za to odmówienie drzewa odgrażał się na mnie. Są także w Rudkach mieszczanie Pawlikowscy (i oni także zeznaniami swojemi obciążyli Fredrę—*przyj. aut.*), którzy grożą mi procesem za jakąś chałupę, czy stodołę, którą mandataryusz Krokoszyński kazał rozebrać, czy pozwolił rozebrać. Gdybym mógł wiedzieć, kto jest moim oskarżycielem, może przypomniałbym sobie wiele okoliczności, tłumaczących nieprzyjaźń ku mnie, jako do dawniejszego dziedzica, który najmniejszym odmówieniem łaski mógł się często kroć narazić.

Powoływałem się wczoraj na zdanie mieszczan i urzędników lwowskich o mnie, a zapomniałem powołać się na mieszczan rudeckich, zwłaszcza tych, którzy obecni byli na zgromadzeniu tak

zwanej Rady narodowej. Wszakże i tam niewątpliwie byli ludzie uczciwi. Żałuję tylko, że znękany chorobą, cierpieniem i zgrzyotą od lat kilku, nie mogę dobrze przypomnieć sobie ich nazwisk.“

Radca Filous (po rekapitulacji oświadczeń Fredry co do słów o „zrzućeniu jarzma“, o „wykorzeniu i wyrzuceniu do dyabła cesarza w stosowanym kapeluszu“): „Zważywszy, że w mowie nie można wyrazów pojedynczo roztrząsać, a chodzi o zrozumiałą treść mowy, wyrazom pańskim nie można podstawić uwolnienia od pańszczyzny, lecz uwolnienie od istniejącego rządu, zwłaszcza, że była mowa o Najjaśniejszym Panu. Także wyraz „wykorzenie“ mógł być użyty, jeżeli, mówiąc o Najjaśniejszym Panu, miał pan hrabia przed oczyma dynastję panującego domu. Zresztą wtenczas przemawiał pan hrabia do ludzi prostych, a zatem mogłeś używać wyrazów, zastosowanych do ich edukacyi.“

Fredro: „Nie mogę żadnym sposobem wchodzić w roztrząsanie mniemanego sensu mowy, ponieważ wczoraj oświadczyłem, iż od początku do końca nigdy z ust moich nie wyszła. Jeżeli teraz zrobiłem kilka uwag o słowach, które mi oskarżenie przypisuje, to uczyniłem to jedynie dla tego, że człowiek, cokolwiek dobrze wychowany, nie mógłby się w ten sposób wyrazić. Ale jeszcze raz powtarzam, że nie byłbym się wdawał w roztrząsanie niewłaściwości wyrazów, gdybym już wczoraj nie był odrzucił całego oskarżenia z największym oburzeniem.“

W dalszych pytaniach radca kryminalny Filous wciągnął w ramy tematu śledczego udział Fredry w lwowskiej Radzie narodowej, która uchodziła za centralne ognisko prądów i „knozań rewolucyjnych“ z r. 1848. W odpowiedziach swoich na szereg pytań, w tej mierze postawionych, z których tylko główne zdania przytoczymy, Fredro określił swój stosunek do lwowskiej Rady narodowej w sposób następujący: „Wiadomo, że w r. 1848 zawiązała się we Lwowie redakcyja dziennika pod tytułem „Rada narodowa“. Należałem do tej redakcyi, czyli raczej do wydziału redakcyjnego. Byłem wezwany przez Jana Dobrzańskiego. Nie chciałem z razu przyjąć tego wezwania, ale moi znajomi zrobili uwagę, że rozsądnym ludziom nie należy się od wszystkiego usuwać. Usłuchałem tego zdania i wszedłem do wydziału redakcyjnego. Po kilkunastu dniach, gdy się rzeczona redakcyja do gmachu teatralnego przeniosła i gdy posiedzenia zaczęły być publiczne, uznałem za stosowne zupełnie usunąć się od wszelkiego udziału w czynnościach rzeczonyj redakcyi. Podałem listownie to moje oświadczenie i od tego czasu nigdy, ani razu jednego na zgromadzeniach lwowskiej rady narodowej nie byłem. W tak krótkim

czasie nie mogłem przedsięwziąć żadnego działania. Na list nie otrzymałem żadnej odpowiedzi; dowiedziałem się tylko, że czytany był w kilka dni później na zgromadzeniu. Cofnąłem się, bo byłem wybrany, jako literat, do wydziału redakcyjnego, a przekonałem się, że tam dzieje się nie podług mego sposobu myślenia“.

Na ostatnie, po odczytaniu inkwizytowi protokołu, postawione pytanie, czy inkwizyt ma co do dodania, lub sprostowania, podyktował Fredro następującą odpowiedź: „Przeczytane mi zeznania bez odmiany potwierdzam i najsilniej upraszam o przyspieszenie ile możności tej sprawy, gdyż stan mojego zdrowia jest taki, że, jakto świadectwami doktorów udowodnić mogę, przez opuszczenie jednego lata bez wód mi wskazanych i opóźnienie operacji, co do której ułożyłem się z chirurgami w Paryżu, wystawiłbym się, jeżeli nie na śmierć, to na kalectwo niezawodne“.

Sędziowie niezależni od wyższej pressyi, z zagwarantowaną prawnie, jak to dziś jest w Austrii, wolnością a -nawet z przykazanym sobie wprost obowiązkiem słuchania tylko głosu sumiennego przekonania i poczucia prawnego, znaleźliby się byli po tem przesłuchaniu Fredry między dosadnie wypowiedzianem życzeniem wyższej władzy a dawną uchwałą uwalniającą, której motywą znalazły właśnie w wyniku przesłuchania Fredry tylko poparcie i potwierdzenie. Ale dla sędziów ówczesnych nie istniały skrupuły i kolidyze tego rodzaju wogóle, a w sprawach publiczno-karnych przedewszystkiem. Skinienie takiej potężnej władzy, jak najwyższy organ policyi, poparte do tego poleceniem ministerstwa sprawiedliwości, stanowiło rozkaz apodyktyczny i uchylało wszelkie wahania. To też nazajutrz po przesłuchaniu Fredry, zapadła na sesyi uchwała, że nastąpić ma „wszechstronne zbadanie“ sprawy i to nie w sposób zwyczajny, lecz—jakby dla demonstracyjnego okazania żywego przejęcia się intencją najwyższej władzy policyjnej—przez osobną, do Rudek wydelegowaną komisję, której kierownikiem nie ustanowiono już radcy Filousa, jako inicjatora poprzedniej uwalniającej uchwały lecz radcę Jana Summera, jako więcej zbliżonego do tradycyi sądu kryminalnego w sprawach politycznych z czasów spiskowych.

Na biednego Fredrę spadła ciężka troska, nawet obawa, bo któż mógł zaręczyć, że po upływie pięciu lat od owej fatalnej mowy nie powiedzie się indygacyi i instygacyi komisji śledczej znaleźć wątką do ciężkiego oskarżenia, a przynajmniej—długiego nękania śledczego, zwłaszcza wobec faktu, że syn jego (Jan Aleksander) z powodu udziału w rewolucyjnej kampanii węgierskiej, musiał ratować się ucieczką za granicę i tem ściągał na ojca nieufność i niechęć sfer reakcyjnych.

A do tego przyłączyły się cierpienia fizyczne. Fredro był wtedy dotknięty taką chorobą (kiszkową), że wyjazd, mocno zakwestyonowany ostatnią uchwałą sądową, był dlań istotnie poniekąd kwestyą życia. To też zwrócił się do Namiestnika hr. Gołuchowskiego z przedstawieniem swojego stanu i z prośbą o wystawienie paszportu, niezbędnego wówczas do każdego wyjazdu, nawet w obrębie państwa. Hr. Gołuchowski wedle formy urzędowej odniósł się do prezydenta sądu kryminalnego br. Pohlberga z zapytaniem, czy nie sprzeciwia się wystawieniu paszportu za granicę. Poszła i ta sprawa na sesję a uchwała opiewała, że ponieważ w sprawie Fredry zachodzą poszlaki zbrodni zdrady stanu, przeto żaden paszport nie może mu być wydany. Na szczęście, hr. Gołuchowski zdecydował się w tej sprawie naruszyć przykazanie biurokratyzmu i, nie oglądając się na uchwałę sądową, postąpił tak stanowczo, jakby tego pewnie nie był uczynił namiestnik-urzędnik zwykłej miary, drżący przed odpowiedzialnością za ewentualne ułatwienie ucieczki człowiekowi, o zdradę stanu posądzonemu. Hr. Gołuchowski wysłał do Fredry protomedyka rządowego i, opierając się na jego relacji o stanie zdrowia Fredry, wystawił mu trzymiesięczny paszport na zmodyfikowany przez samego petenta projekt podróży (do Wiednia i Töplitz). Zawiadomiony o tem sąd kryminalny, pośrednio tylko remonstrował, żądając by namiestnictwo zapobiegło przynajmniej wydaniu Fredrze w drodze dalszego paszportu przez władzę krajową w Wiedniu, lub w Pradze.

BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

(D. n.).